

**Adam Bolesław Wierzbicki, Po przejściach, wyd. autorskie, Dłużek 2013, 37 s.**

Powiadał Andrzej K. Waśkiewicz, że jest coś magicznego w śledzeniu rozwoju poety, z wiersza na wiersz, z tomiku na tomik; wreszcie, jak „życiopisanie” przepoczwarza się w liryczną wizję świata. Twórczość Adama Wierzbickiego znam od samego początku, kiedy to „konfesjonalem” podmiotu mówiącego był wyłącznie knajpiany szynkwias; później, gdy za jedyny życiowy horyzont „robiły” więzienne kraty, a psy miały wyłącznie „niebieską sierść”. Teraz, gdy poeta okrzepł, dojrzał i zwyczajnie się... zestarzał, nie wstydzi się nawet czułościowości i pozornego banału, choćby w przyglądaniu się „egzystencjalnej krzątaninie” własnych rodziców, których (oczywiście!) się kocha. Ale to tylko naskórkowa *quasi*-diagnoza, wysnuta z lektury pojedynczych tekstów, najczęściej... konkursowych. Bo o ile jeszcze nie tak dawno temu Wierzbicki „składał” swoje tomiki dość spontanicznie; raczej namiętnie, motywowany emocjami; bardziej tym, co wiersz „wysławia”, niż tym jak to się „wysławia” – to nagle w tych dwudziestukilku

*Autoportretach*

zaczął... „tropić”; co znaczy tyleż formalne „zużywanie” tropów poetyckich, co równie „śledzenie” własnych rysów w ogólnym, jakby pointylistycznym zlepku tzw. układu społecznego.

Książka składa się więc z samych autoportretów, niemniej każdy jest dopowiedziany opisowo już w tytule. Można zapytać: po co więc ten monotony, powtarzany jak echolalia schizofrenika motyw „autoportretu”? Odpowiedź jest prosta, jak forma portretów trumiennych: taka konwencja. Wierzbicki dojrzał już do przewartościowania albo tylko „przekomarzenia” się z konwencją. Wiersze pozornie wyglądają tak samo. Pozornie podmiot mówi ciągle o tym samym: niby o sobie. Pozornie wszystko jest dość komunikatywne (niby-proste). A jednak, gdzieś w „niedookreśleniach” językowych i formalnych czai się jakaś głębsza albo poetycko pogłębiona tajemnica. Mówiąc prościej: są to wiersze, które może czytać z satysfakcją zarówno ktoś, kto pierwszy raz w życiu czyta wiersze, jak i ktoś, kto „żyje” z interpretowania literatury.

Najważniejsze (jednak) pytanie brzmi: kim jest podmiot mówiący Wierzbickiego. To, że jest nim być może sam poeta, byłoby zbyt łatwe; chociaż w „liryce osobistej” jest to naturalne. Zbyt naturalne jak na autora kilku (już) tomików. Otóż podmiot liryczny Adama Wierzbickiego to człowiek „zużyty”, trochę „przetracony” przez tzw. życie, człowiek „niezrealizowany” (w powszechnym mniemaniu), cokolwiek samotny (bo „jacyś” ludzie otaczają go na co dzień), jednak w egzystencjalnym bilansie zostaje zawsze sam naprzeciw bodaj... lustra (wewnętrznego), skoro nazywa tę poetycką petryfikację autoportretami. A jednak pomimo tego „zmarginalizowania” albo przewartościowania niby-negatywnego usytuowania w świecie, ocala wartości uznawane powszechnie za... pozytywne. Ot choćby dość konceptycznie „rozgrywając” zbanalizowaną opozycję „być–mieć” w wierszu otwierającym tomik („nie są/ tylko niekiedy bywają; tym, którzy/ mają a nie są”). W pierwszej części cytowanego wiersza mówiąc o ludziach, którzy „otaczają” poetę (podmiot liryczny); w drugiej części cytatu mówiąc o ludziach, których... nie akceptuje. Taką formułę „rozklepywania” – nomen omen – oklepanych figur poetyckich Wierzbicki chętnie powtarza, choćby w *Autoportrecie (impresjonizm)* („Byłem wszędzie/ i jednocześnie nie byłem nigdzie/ znałem wszystkich/ lecz naprawdę nikogo nie znałem”), a skoro „powtarza”, to znaczy, że jest to świadomy zabieg niejako pastiszowania obiegowych postrzeżeń, zlepków językowych albo wręcz po prostu zwyczajnych frazesów, które tylko bardzo rzadko pobrzmiwają nieco szlachetniej jako frazeologizmy.

Powtórzenia to często stosowany przez Wierzbickiego chwyt literacki, czasami jest to klasyczna anafora; zdarza się, że powtórzenie anaforyczne staje się osobliwą „strofką”, choćby

jednym słowem, jak w *Autoportrecie w knajpie*, gdzie jedno słowo *klin* powtarza się za każdym razem, kiedy wraca... kac – w tym wypadku... życiowy. I konsekwentnie, skoro poeta zastosował już nie pojedynczą metaforę, ale cały tekst jest alegorią, pojawia się „adekwatna” pointa ( *Boże ja chyba*

*nigdy nie wytrzeźwieję*

). Zresztą Wierzbicki z zasady nie jest wierny kanonicznym formom tropów poetyckich. Jeśli więc pojawia się anafora, to osobliwa, niepodręcznikowa; metafory demaskują się wsobnie, jako zbanalizowane, oklepane, zasłyszane; a jeśli pojawia się na przykład dystych (choćby w *Autoportrecie w tłumie*

), to jest to dystych złamany pojedynczą linijką na końcu wiersza. Więcej: Wierzbicki nie unika „niebezpiecznych” zestawień mianownikowo-dopełniaczowych („samochód życia”; „klepsydra przemijania”; „ziarnka dni”; „kalendarze lat”), ale nagromadzenie ich w jednym wierszu ( *Autoportret na tle zegara*

) daje do myślenia. Jest w tym jakaś celowość, głębsza intencja, może chęć sprowokowania tzw. wymagających czytelników (czytaj: krytyków), boć przecież to znowu... takie proste, wręcz banalne. Tak jak niezbyt wyszukane (można pomyśleć o internetowej wyszukiwarce) są postacie ze świata sztuki, filozofii i nauki antycznej „użyte” w wierszu

*Autoportret antyk*

, chociaż trzeba przyznać, że postacie, choć „oklepane”, to już „rozklepywanie” Wierzbickiego nacechowane jest, jeśli nie szyderstwem, to już na pewno ironią.

W ogóle można odnieść wrażenie, że w tych *Autoportretach* widzimy trochę wykrzywioną twarz autora, który daje czytelnikowi intelektualne fory, podpuszczając go niby-powierzchnową wiedzą o świecie, osobliwie szcątkową znajomością teorii wiersza, po to by na końcu tego „portretowania” wynieść jako naczelną ideę zwyczajną pokorę.

*Autoportret z krzyżem na barkach*

sublimuje właśnie tego rodzaju ukorzenie podmiotu mówiącego. On rozumie, dlaczego cierpi. Że to ma jakiś wielki sens; być może większy niż najlepsza poezja, najbardziej przemyślany tekst literacki; być może i być może. W ten sposób Wierzbicki, przyznając się w każdym miejscu życia i w każdym wierszu tego tomiku do słabości, niedoskonałości – wali nam między oczy prawdę, że na tym właśnie przesłaniu zasadza się urok... chrześcijaństwa. Tu nie ma żadnych wątpliwości. Krzyż nie jest bowiem metaforą, alegorią, czy tam jakimkolwiek innym „pomysłem literackim”. Krzyż jest znakiem. No i w tym miejscu, na końcu tomiku, czytelnik musi zacząć myśleć, na ile taka prawda jest jego prawdą, a na ile interesującą propozycją mierzenia się z absolutami.

I żeby użyć niby-poetyckiej paraboli: jest z poezją Wierzbickiego tak, jak w poszukiwaniu kamieni szlachetnych; chodzimy po strumieniach, nad brzegami mórz i trafiamy na zwykłe, ale bywa, że piękne, otoczaki. I nagle w najmniej oczekiwanym miejscu, w najmniej spodziewanych okolicznościach trafia się prawdziwy kryształ. Nawet, jeśli nie zdajemy sobie z tego sprawy i traktujemy tenże kryształ jak kolejny otoczek, tylko być może trochę bardziej okrągły, gładszy, nieco bardziej połyskliwy...

Czesław Markiewicz